Nr. 13 | Należyt. poczt. opł. ryczałt. | We Lwowie, 1 lipca 1931 | Rok 53

ŁOWIEC

WYCHODZI 1 i 16 KAŻDEGO MIESIĄCA

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 9·— złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedynczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 200 zł., 1/2 str. 100 zł 1/4 str. 50 zł., 1/8 str. 25 zł., 1/16 str. 12·50 zł. — Ogłoszenia na pierwszej stronie o 50% drożej. Drobne ogłoszenia 30 gr. słowo.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, III p, (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we wtorki i piątki o godz. 12-tej
Redakcja nie zwraca rękopisow już drukowanych i zastrzega sobie konieczne zmiany i skróty
Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 18 - 59.

Czasy ochrony zwierzyny (Art. 48 i 49) **dla Małopolski.** Ciemne pola oznaczają czas ochrony.

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Jelenie - byki, daniele - rogacze	■	■	■	■	■	■	■	■			■	■
Sarny - kozły		■	■	▌20								
Zające - szaraki		■	■	■	■	■	■	■	■			
Borsuki	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Wiewiórki *)			■	■	■	■	■	■	■	■		
Głuszce - koguty	■	■	▌15		15▌	■	■	■	■	■	■	■
Cietrzewie - koguty						■	■	▌15				
Jarząbki		■	■	■	■	■	■	▌15				
Bażanty - koguty		■	■	■	■	■	■	■				
Kuropatwy	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Przepiórki	■	■	■	■	■	■	■	■				
Słonki					15▌	■	■	▌15				
Bataljony						■	▌10					
Dzikie kaczory						■	▌10					
Dzikie kaczki (samice i młode) oraz inne ptactwo wodne i błotne			■	■	■	■	▌10					
Dzikie łabędzie i dzikie gęsi					15▌	■	■					
Dropie *), dropie kamionki (strepety), dzikie gołębie, drozdy, kwiczoły, paszkoty		■	■	■	■	■	■	▌15				
Ptaki krukowate i drapieżne z wyjątkiem jastrzębi gołębiarzy, krogulców, wron i srok		■	■	■	■	■	■	▌15				
Żubry, bobry, kozice, świstaki, samice i cielęta: łosia, jelenia, daniela, sarny-kozy i koźlęta, niedźwiedzice od niedźwiątek, głuszce-kury, bażanty-kury, czarne bociany oraz w województwach: pomorskiem, poznańskiem, warszawskiem, łódzkiem, kieleckiem, lubelskiem, krakowskiem, lwowskiem, tarnopolskiem i stanisławowskiem cietrzewie-kury	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■

*) Na mocy dodatkowego rozporządzenia Min. rol. ochrona przez cały rok do odwołania.

Kalendarz ten nie obejmuje czasowych rozporządzeń Województw małopolskich, tyczących przedłużeń czasu ochrony pewnych gatunków zwierzyny łownej.

Do nabycia w Biurze M. T. Ł., Lwów, ul. Ossolińskich 11. III p.

C. C. G.: Wspomnienia z rykowisk . . . . zł 6·—
Kobylański J. Wł.: Humor i łacina myśliwska „ 1·50
— O dawnych i obecnym zwierzyńcu w Krakowie 1·50
— Jak powstał w odrodzonej Polsce pierwszy zwierzyniec w Warszawie . . . „ 3·—
— O zwierzyńcu w Katowicach . . . . „ 3·—
Lisowice III. tom . . . . „ 5·—
Krogulski Seweryn: Pół Wieku . . . . . „ 3·—
Mniszek Albert: Jarząbek . . . . „ 3·—
Orski St. W.: A było to wczas rano . . . „ 6 —
Ostrowski Stefan: Z piersi myśliwego . . . „ 2·25
Roczniki „Łowca" z lat poprzednich . . . zł 15·—
Roczniki „Łowca" od 1928 r. . . . . . . „ 20·—
Sztolcman Jan: Żubr . . . . „ 3·30
Ustawa Łowiecka Gal. z r. 1910 . . . . . „ —·30
Ustawa Łowiecka . . . . „ 0·80
Wodzicki hr. Kazimierz: Wspomnienia z życia łowieckiego . . . . „ 3·50
— „Słonka" . . . . „ 2·50
Ziembicki Witołd: Bibljografja prac Kazimierza hr. Wodzickiego . . . . . . „ 1·50

z doliczeniem opakowania i porta

SPROSTOWANIE

W tej chwili otrzymałem numer „Łowca" z 1 czerwca 1931. Umieszczono w nim mój artykuł p. t.: „Toki Styryjskie". Pozwolę sobie zwrócić uwagę na kilka pomyłek druku, które w nim zauważyłem a mianowicie: W motto napisano Uhrhahnpelz ist mir des Weidwerks Krone, zamiast **Uhrhahnpfalz.** „Uhrhahnpelz niema żadnego znaczenia. Kilka razy umieszczono imię mego strzelca niedokładnie, t. j. Franck, zamiast **Franzl.** W dwudziesty wierszu od góry napisano: „Krótsza droga od lat dwudziestu całkowicie pokryta śniegiem"? — W rękopisie było: **„krótsza droga, znana mi od lat prawie dwudziestu, całkowicie pokryta śniegiem"**.

TREŚĆ NUMERU 13:

Nr. 13 We Lwowie, 1 lipca 1931 Rok 53



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

INŻ. ANTONI KORASIEWICZ

Czy pies myśli?

Dawno miałem zamiar poruszyć ten temat w „Łowcu", lecz jakaś nieprzezwyciężona apatja, która jest obecnie ogólną chorobą społeczeństwa, nie dawała mi wziąć za pióro.

Dopiero artykuł w 23 Nrze „Łowca" z 1930 r., „Czy zwierzęta myślą?", zmusił mię niejako do urzeczywistnienia mego zamiaru.

Jako miłośnik szczególnie polowania z psem legawym i będąc treserem-amatorem, miałem w mym zawodzie łowieckim szczęście do bardzo dobrych psów legawych.

Z wielu psów legawych, które posiadałem, rozmaitej rasy i płci, wyróżniał się wysoką inteligencją i przymiotami istoty myślącej, szczególnie pies, którego przypadkiem dostałem — rasy prowadzonej przed 30-tu laty przez ówczesnego łowczego Ordynacji łańcuckiej.

Pies dość duży, o wysokich nogach, maści bronzowej i jak znawcy mawiali, miał przedewszystkiem błąd piękności w ogonie, który nosił trochę do góry wygięty, gdyż kurtyzowanym nie był.

Miał już około roku, gdy go dostałem i nazywał się Lord.

Tresurę pokojową musiał już przejść, bo bardzo mało miałem z nim pracy, aby go nauczyć chodzenia za nogą, siadania, warowania i aportowania.

Nie będę się rozwodził nad jego początkami w służbie łowieckiej — powiem tylko tyle, że rozumiał wszystko wymawiane półgłosem i wykonywał wszystko na rozkaz wypowiedziany w sposób, jak do grzecznego dziecka. Karą było dla niego już ostro wypowiedziana nagana lub podniesienie z ziemi np. ździbła słomy zamiast kija.

A że rozumiał zupełnie wszystko, co się do niego mówiło, to przytoczę następujący dowód.

Wyjechałem na objazd powierzonej mi przestrzeni rzeki Dunajca, byłem wówczas przydzielony jako c. k. inżynier do Oddziału technicznego Starostwa w Tarnowie. Czynności miałem więcej, tak, że na noc nie wróciłem do domu, lecz zanocowałem u znajomego zarządcy we dworze. Na drugi dzień, gdym wracał po południu do domu, spotykam mego Lorda na drodze, biegnącego naprzeciw. Zatrzymałem konie a złajawszy i postraszywszy batem psa za włóczęgostwo, wziąłem go na furę.

Jakże mi go w domu żal było, żem go skrzywdził, gdyż matka moja, która lubiała bardzo psy legawe i miała zwyczaj mówić do nich jak do ludzi, wyjaśniła mi podróż pieszą Lorda.

Leżał sobie na chodniku pod oknem mego mieszkania, a matka zapytała go przez okno: „Gdzie pan, poszukaj pana!" No i pies się wybrał do mnie, znaną mu drogą, nigdy tego nie czyniąc ani przedtem, ani potem.

W Starostwie w Tarnowie był wówczas silny oddział techniczny, bo składający się z 11-tu inżynierów.

Ja miałem wspólne biuro z trzema jeszcze kolegami w ogromnej sali, o której fama niosła, że w czasie rzezi szlachty pod dowództwem osławionego chłopa Szeli z Lisiej Góry, znosili do niej związaną szlachtę i układali jak barany.

Psa brałem zawsze ze sobą do biura, aby się nie włóczył za służącą, lub sam po mieście. Miał upodobanie kłaść się zawsze pod biurkiem kolegi B., który siedział trzeci odemnie — i choć się „Lorduś" cieszył sympatją wszystkich, to kolega B. zmuszony był czasem Lordusia usunąć z pod swego biurka. Niestety pies nigdy go nie usłuchał, ani łagodnym, ani gwałtownym sposobem. — Wówczas musiała nastąpić moja interwencja, lecz potrzebowałem półgłosem spokojnie powiedzieć: „Lord, idź pod piec", który przy przeciwnej ścianie w środku sali się znajdował — pies w tej chwili wstał i szedł posłusznie pod piec, gdzie leżał aż do 12-tej godziny, o której wychodziliśmy z biura. Zegarek miał znakomity, bo nigdy się nie omylił i przychodził z radosnem kichaniem, machając ogonem, z pod pieca, dać mi znać, że już czas do domu na obiad. Wówczas dawałem rozkaz, który spełniał dokładnie: „przynieś panu kalosze, idziemy do domu!"

Zadziwiające dowody myślenia i kombinowania czynności dawał ten pies niejednokrotnie.

Przywiązany był bardzo do mego synka Kazia (dziś kapitana W. P.) i zawsze na spacerach z nianką towarzyszył mu tak, że cały Tarnów znał te dwie osobistości, t. j. Lorda i Kazia K.

W niedzielę do godziny10-tej rano była główna brama z frontu do gmachu Starostwa otwartą, gdyż przychodziliśmy po objazdach zobaczyć, co się w biurze dzieje. Potem woźny zamykał bramę frontową.

Wyszedłem raz przed 10-tą z biura, aby się przejść po głównej ulicy i wracając, spotykam koło gmachu Starostwa mego Lorda, biegnącego w susach do mnie, ale z jakąś miną przestraszoną i czyniącego zwroty nagłe ku bramie Starostwa; zrozumiałem, że chce, bym do bramy szedł. Podszedłem do bramy za nim i w tej chwili począł drapać łapami, że trzeba tam wejść. Zdziwiło mnie to zachowanie się psa i aby przekonać się, co się tam wewnątrz w gmachu stało, obszedłem podwórze do tylnej bramy otwartej i gdym wszedł na schody, usłyszałem głos mych dzieci schodzących z góry z nianką, które wyszły naprzeciw mnie. Pies był z niemi, lecz właśnie woźny zamykał bramę i psa nie wpuścił. Chciał mi więc Lord dać znać, że stało się nieszczęście, bo dzieci zamknięto w gmachu Starostwa.

Służbę swoją w polu rozumiał tak w najdrobniejszych szczegółach, że nawet częstokroć byłem zdumiony jego sposobem myślenia.

Gdym podchodził kaczki siedzące na czystej wodzie, ale zakryte wysokim brzegiem jeziora czy rzeki, to w miarę, jakie ruchy ja czyniłem ciałem, pies zupełnie robił przy lewym boku moim to samo — a więc pochylał się coraz bardziej, wreszcie, gdy ja czołgałem się na brzuchu i on obok mnie robił to samo, a tego przecie nie uczyłem go.

Za zającem kroku nie zrobił, lecz wystawiwszy go, gdy zając pomknął z kopna, spojrzał z pogardą na niego, lub kichnąwszy i pokiwawszy ogonem, robił minę przepraszającego za pomyłkę i szukał ptaka dalej.

Do trzech lat nie strzeliłem nigdy zająca przy nim, a gdy raz wreszcie po wystawieniu go przez niego, strzeliłem, pies popatrzył na mnie ze zdziwieniem i jakby z zapytaniem, na co ja to uczyniłem.

Wypowiedziany rozkaz „idź przynieś" spełnił jednak bez wahania i zająca pierwszego w życiu przyniósł do nóg.

Jak dalece był, jak Niemiec nazywa „hasenrein", to dowód najlepszy, że brałem go na zasiadki na lisa w jesieni, a Kazio mający wówczas około 6 lat, z jednej stro-

---

MIECZYSŁAW MNISZEK TCHORZNICKI

W niewoli

Był jeszcze bardzo, bardzo mały, kiedy go leśnik schwytał i oddał młodemu paniczowi. Nie pamiętał już tych wspaniałych gór karpackich, przepastnych jarów i szczytów wysokich. Nie pamiętał już matki swej, czasem tylko jakby mgłą przesłonięte wspomnienie, stawały przed oczyma jakieś kształty, mające postać matki jego — łani.

Zamknięty teraz w dużem ogrodzeniu, w parku pałacowym, miał już dziesięć miesięcy, z tego osiem spędzonych w zamknięciu, w niewoli. Dobrze mu tu jednak było. Ciągle znoszono mu tu różne łakocie, głaskano i pieszczono go. Nieznośnem było tylko dla niego, gdy psy podwórzowe, spuszczone wieczór z łańcucha, okrążały ogrodzenie, strasząc go nieustannem szczekaniem. Biegał wówczas z jednego kąta w drugi, uciekając przed hałaśliwem towarzystwem psów, te jednak goniły wciąż za nim, gdzie tylko się obrócił.

Czasem znów, gdy wszyscy z pałacu wyjeżdżali do miasta, wówczas chłopcy folwarczni wpadali do parku i drażnili go. — Kiedy widząc ludzi, przyzwyczajony do nich, podchodził do żelaznych sztachet ogrodzenia, wysuwał się z za pleców chłopca kij i bił go po głowie. Zdziwiony i przestraszony takiem postępowaniem ludzi, stawał się jelonek coraz dzikszy. Natura jego z początku łagodna, stawała się dziką. — Wilgotne zawsze oczy przedtem patrzyły tylko smutnie przed siebie, teraz rzucały złe błyski, czasem znów strach jakiś zauważyć się w nich dawał.

Mijały jednak lata.

Z jelonka urósł jeleń. Z bezrogiego stał się ukoronowanym szóstakiem, ósmakiem, dziesiątakiem.

Ruda sierść lśniła się bajecznie w promieniach słońca.

ny koło mnie siedział, zaś Lord z drugiej. Trafiłem na ścieżkę wychodną zajęczą i kilka zajęcy przeszło na parę kroków obok psa lub synka, a pies ani się nie ruszył; — głowę tylko zwrócił w stronę zająca i siedział dalej spokojnie.

Brałem go często na polowanie kniejowe z nagonką; siedział przy nodze i po strzale do zająca bez rozkazu nie ruszył się. — Po skończonym miocie posłany za postrzałkiem, przyniósł za 10 do 15 minut zająca, ku ogólnemu podziwowi nagonki i myśliwych.

W Tarnowie polowałem nieraz wspólnie z doktorem Z., który psa nie miał. Raz wybraliśmy się na kuropatwy na dworskie łany, gdzieśmy mieli pozwolenie. Były dwa duże łany ziemniaków i w pierwszym zaraz trafił Lord na kuropatwy, a że wystawił jak zwykle po mistrzowsku, więc ja zrobiłem dubletę, a doktor Z. strzelił tylko jedną, gdyż wziął poraz pierwszy Winczestra śrutowego i zapomniał po strzale zarepetować. Kuropatwy poszły dość daleko, bo to było już z końcem września czy w październiku, a zatoczywszy łuk, zapadły w następnym łanie ziemniaków przy kraju. Poszliśmy za niemi i Lord momentalnie zaraz z kraju łanu przystanął. Zbliżyliśmy się doń obaj, a że stał twardo, więc ja z prawej strony, doktor Z. z lewej, stanęliśmy przy psie. Na rozkaz cichy „pójdź dalej" począł delikatnie stawiać łapki tak, aby badyl ziemniaka nie zaszeleścił i w tem po stronie doktora Z. porwała się jedna kuropatwa, która po jego strzale padła na lewo dość daleko. Pies stał jednak jak wryty, tylko zwrócił na chwilkę głowę ku mnie, co ma dalej robić. Pogłaskałem go lewą ręką po głowie i prawie szeptem powiedziałem: „idź przynieś". — Pobiegł w tej chwili bokiem, podjął kuropatwę strzeloną i wrócił w galopie przed nas, lecz nie siadał, by ptaka oddać, ale trzymając go w pysku, stanął napowrót w tem samem miejscu i kierując głowę w lewo i prawo, dał do zrozumienia, że tu wszędzie są kuropatwy. Te rzeczywiście zniecierpliwione, zaczęły się partjami zrywać, do których obaj spudłowaliśmy, zachwyceni psa zmyślnością.

Hrabiemu Z. zginęła suka legawa przy szczenieniu się, a że prowadząc roboty wodne na Dunajcu pod brzegami jego majątku, spotykałem się z nim często, więc prosił mnie, abym mu przy najbliższej sposobności przywiózł ze sobą psa, aby zapolować na kuropatwy. Wśród pól urodzajnych była u hrabiego Z. jakby olbrzymia remiza, zarośnięta różnorakiemi krzewami, wysokiemi drzewami, a przedewszystkiem trawami, prawie po pas miejscami; kuropatwy zegnane z pól zapadły w tę dżunglę — można więc było po rozbiciu ich cały dzień tam się kręcić za poszczególnemi już sztukami. Staje Lord na jednej z halaw, kuropatwy dość daleko od nas się porwały — i hr. Z. zdołał strzelić tylko raz. Pies jednak zaledwie powąchał w miejscu, gdzie padła kuropatwa i nagle, jakby oparzony, począł straszliwym galopem gnać pod ścianę wyższych drzew. Miałem wrażenie, że musiał pójść za zającem, czego nigdy nie robił i pomyślałem: „o to się ładnie spisał, a chwaliłem go przed hrabią, że kroku za zającem nie robi". — Sylwetka psa bronzowego na tle zżółkłych traw nareszcie znikła z oczu. Zapalamy papierosy i czekamy, a we mnie gniew począł nurtować, że mi ten sławny Lord skandal zrobił i to wobec takiego znakomitego myśliwego. Po jakiejś dobrej chwili słyszymy szelest krzaków z przeciwnej zupełnie strony kierunku, w którym pies poszedł i nagle z traw wyłania się psia głowa z żywym jeszcze kogutem starym. Odebrałem ptaka od niego z pochwałą, a hr. Z. w zachwycie w głowę psa pocałował. — Wiadomo, że kuropatwa zbarczona zazwyczaj tak szybko ucieka, iż pies, jak za zającem, musi galopem biec, aby ją dognać, a że tu miał Lord do czynienia ze starym kogutem w dodatku, więc w trawach i krzakach nie widząc uciekającej kuropatwy, miałem wrażenie, że chyba za zającem tak pomknął.

Uczyłem go szukać zguby, czego przy końcu tresury

Nogi nabrały siły i sprężystości. Kiedy biegał po ogrodzeniu, każdy muskuł grał tu przedziwną harmonją piękna przyrody.

Powoli i natura jego kształtowała się. Z początku, z chwilą kiedy zobaczył zbliżającego się człowieka, biegł do sztachet ogrodzenia i oczekiwał na łakocie, ale często miast nich otrzymywał bolesne razy po głowie. — Z czasem nauczył się rozpoznawać ludzi. Wiedział, że gdy do ogrodzenia zbliża się gajowy lub ktoś z pałacu, to oznacza to zawsze coś dobrego, ale kiedy zbliżali się fornale lub mali chłopcy, nigdy nie podbiegł do nich, gdyż groziło to zawsze czemś bolesnem. Stał wtedy zawsze w środku ogrodzenia, nie zważając na chłopców. Rzucał tylko błyski gniewu, a z gardła wydobywał się ryk cichy, jakby skarga, ale i groźba zarazem.

Od pewnego wypadku zdawał sobie sprawę z tego, że jest silnym. Raz bowiem, kiedy go chłopcy rozdrażnili, w bezsilnej swej złości, stoczył bój z szopą, dla niego tu postawioną. Pod mocnemi uderzeniami twardych rogów rozsypały się lekko zbite deski szopy. Ale wobec żelaznych sztachet był zupełnie bezsilny, raz nawet złamał sobie róg, kiedy chciał się dobrać do drażniących go fornali.

Ludzie z pałacu i gajowi byli mu znani, pozwalał się im zbliżać do ogrodzenia, brał nawet z ich ręki pożywienie, ale nikogo do klatki nie wpuszczał. Ktokolwiek bowiem wszedł, wnet musiał czemprędzej uciekać przed nim.

Jeden tylko człowiek mógł z nim czynić, co mu się tylko zachciało, był nim jego faktyczny właściciel: panicz. Ale też ten panicz nigdy go nie drażnił, nie chwytał nawet za rogi, czego wszystkie zwierzęta tak pełnorogie, jak i pustorogie nie znoszą, gdyż zdaje się im, iż odbiera się im jedyną ich obronę.

Nadchodziła jednak raz w roku pora, kiedy i panicz nie odważyłby się wejść do ogrodzenia.

zresztą każdego legawca uczę, co się niejednokrotnie bardzo przydaje. Polując na kuropatwy w terenie porosłym kępami traw i sitniku, zauważyłem jastrzębia polującego również na te same kuropatwy. Otworzyłem strzelbę, aby zmienić nabój w lewej lufie z grubszym śrutem — idąc podczas tego w kierunku jastrzębia; ten jednak porzucił kuropatwy i zginął mi z oczu na horyzoncie. Otwieram strzelbę po raz wtóry, aby nabój zmienić t. j. napowrót na śrut cienki i zauważyłem, że z prawej lufy nabój niepostrzeżenie przy pierwszej zmianie wyleciał. Wołam Lorda do nogi i wydaję rozkaz, pokazując mu nabój wyjęty z torby: „siadaj! — to zguba, szukaj zguby!" Pies wrócił za mym śladem wstecz i zaraz przynosi coś podobnego do naboja; odbieram zupełnie takiej samej długości i grubości kawałek patyka koloru popielatego, jak był pokazany mu nabój. Rzucam więc ten kawałek drzewa na bok ze słowami: „pfuj!, to nie zguba" — i powtórnie mu pokazuję nabój przytykając do nosa. Niebawem przyniósł już naprawdę nabój. Nie kierował się więc tu zmysłem powonienia, ale zapamiętał pierwszy raz wygląd pokazanego mu przedmiotu.

Będąc eksponowanym do prowadzenia robót wodnych na Wiśle między Ujściem Jezuickiem a Szczucinem, przeniosłem się tam z całą rodziną na lato. Do dalszych robót jeździłem podwodą lub na rowerze; miałem jednak jedną budowę oddaloną około 5 km tylko od miejsca zamieszkania i wybrałem się do niej pieszo w piękny dzień jesienny po obiedzie. A że miałem od zarządu dóbr pozwolenie na polowanie na ptaki, więc wziąłem ze sobą strzelbę i Lorda. Zanim jednak na krótkim dniu zdołałem się załatwić z czynnościami przy budowie, słońce zaszło i poczęło się zmierzchać. Nie było zatem mowy o jakiemkolwiek polowaniu i by mię ciemności nie zaskoczyły w kępie łozowej, przez którą prowadziła ścieżka, szedłem śpiesznie do domu. Lord szedł zawsze za nogą i nigdy nie odchodził bez rozkazu. Po jakiejś chwili oglądam się, — psa niema. Zdziwiony tem, mocno gwizdam ustami, lecz bezskutecznie; wyjąłem z torby gwizdek i gwizdnąłem silnie. Na gwizd ten zareagował, bo natychmiast wyskoczył na ścieżkę z krzaków o kilkadziesiąt kroków za mną, lecz zamiast biec do nogi, przystanął i z postawy i zachowania się dawał mi znać, że tam, skąd wyskoczył, coś jest. Poszedłem do niego i pytam: „Co tu pies ma?" — w tej chwili w pozycji, w jakiej wystawiał, począł mnie prowadzić ze ścieżki w bok w trawy i rzadkie krzaki, z których się stadko kuropatw porwało. Kuropatwy widocznie biegły ścieżką i za zbliżeniem się mojem zeszły ze ścieżki w krzaki, czego ja oczywiście w zmroku, a nie mając nosa jak Lord, nie mogłem zauważyć.

Każdy inny pies „nie myślący" byłby na wołanie najpierw kuropatwy spłoszył, a potem przybiegł do nogi.

(C. d. n.)



Kiedy w cichy wrześniowy poranek, gdy ludzie jeszcze spali, usłyszał pierwszy ryk jelenia, odbity tysiącznem echem od wierchów górskich, odpowiedział mu.

W głosie tym nie można było jednak dosłyszeć się tej potęgi i władztwa, jakie słychać w ryku wolnego jelenia, pana przestrzeni, króla gór. Z ryku naszego jelenia płynęła skarga, jakieś bóle i tęsknoty odczuwać się dawały.

W dzień tęgim kłusem okrążał swe ogrodzenie, nie przyjmował pożywienia, a biada śmiałkowi, który odważyłby się wejść do klatki.

I znów w oczach jego ukazywała się tęsknota, tęsknie wodził oczyma hen w dal, skąd dochodził go ryk wolnego brata.

A kiedy mróz chwytał ziemię w swe żelazne okowy, znowu był spokojnym, parkowym jeleniem.

I tak trwało do pewnego roku. Jeszcze raz zrzucił rogi, by przyozdobić swą głowę w nową koronę, tylko większą.Stał się dwunastakiem.

A gdy z pól ściągnięto zboże, gdy złotem rżyskiem ciągnęły się pola, znów do uszu jego doszedł ryk płynący z gór. Ogarnęła go tradycyjna, na ten czas przypadająca tęsknota.

Ale w tym roku ta tęsknota przybrała taką miarę, że ciasno mu było w ogrodzeniu, chciał puścić się w zawody z wichrem, gnając przez bezkresne przestrzenie.

W południe przyszedł panicz i aż się przestraszył, taki ból ujrzał w wilgotnych oczach jelenia. Mimo obawy wszedł jednak do klatki. Jeleń miast rzucić się nań, jak to zwykł czynić, zwolna podszedł do niego dał się głaskać i pieścić. Tulił się jakoś tak dziwnie do swego pana, jakby czuł śmierć nadchodzącą, jakby się chciał pożegnać z człowiekiem, który mu żadnej krzywdy nie wyrządził.

— Ojcze, wypuśćmy jelenia — prosił przy obiedzie

ANDRZEJ STRZEMIĘ CHWALIBÓG

Jak polowano z ogarami

II.

Ponieważ artykuł mój na powyższy temat wzbudził dość znaczne zainteresowanie, i otrzymałem słowa zachęty, postanowiłem przeto go rozszerzyć, a zwłaszcza, że był to obrazek jednostronny, a polowanie z ogarami w różnych okolicach Polski, zależnie od konfiguracji terenu i warunków naturalnych rozmaite przybierało formy.

Obecnie mam zamiar skreślić obrazek z czasów około 1870—1880 roku z ówczesnej Kongresówki, a w szczególności z południowo-zachodniej połaci dawnej guberni Kieleckiej, a obecnie województwa tegoż nazwiska. Jest to kraj o charakterze przeważnie nizinnym, gdyż jedynie nieliczne wzgórza przerywają monotonność krajobrazu. Dawnemi czasy cały ten obszar zalegała puszcza leśna, z czasem jednak żyźniejsze części wykorczowano i zamieniono na grunta orne, na których powstały posiadłości dworskie i wioski, tworząc gniazda, w pośrodku leśnej przestrzeni. Wsi te i dwory łączyły tylko drogi lasowe nie szutrowane i kręte, a odległość od szosy przeważnie była znaczna. Lasy te nie były gospodarowane w sposób obecnie będący w użyciu, nieznano zupełnych wyrębów, lecz nawet w razie sprzedaży większej partji drzewostanu, jedynie grube drzewo było rąbane, reszta zaś zostawała. Pewną ilość najgrubszych drzew był właściciel obowiązanym zostawić w każdym morgu, jako nasienniki. Może był ten sposób eksploatacji lasów, mniej ekonomicznym niż dzisiejszy, lecz miał on i pewne zalety, — najpierw, że taki las był „wiecznym" bo się sam odmładzał, dziś zaś przy „zupełnym" wyrębie, pomimo ustawy, nie raz całe przestrzenie niezostają ponownie zalesione, lub pomimo zasadzenia, niszczeją z powodu posuchy, owadów lub pożaru; a najbardziej cierpi na tym systemie prowadzenie lasów, piękno natury i zwierzostany, bo nie da się porównać lasu obsianego jednym gatunkiem drzew, z lasem mieszanym złożonym z różnorodnych gatunków drzew, podszytych krzewami, — tu niemal martwe jednolite tafle kultur leśnych, tu zaś cudowne fale różnej wysokości drzew i krzewów, przypominające morze, o tysiącach barw i zawsze w ruchu będące; zastąpiły je jednolite tafle lasów sadzonych, martwe i niczem nie urozmaicone. A cóż dopiero mówić o faunie tych przestrzeni leśnych?! W takim młodym lesie, złożonym z różnych gatunków drzew i krzewów, aż się roiło od ptactwa drobnego i śpiew szczebiot dzień cały aż do późnego zmroku nie ustawał, a co kilkadziesiąt kroków od siebie rozstawione drzewa nasienne, nie raz bardzo wysokie i grube, opatrzone wspaniałemi koronami, były niemal każde osobnem siedliskiem coraz to innego ptactwa. I tak, z wiosny, na starych koronach sosnowych tokowały od świtu cietrzewie, gruchały parki turkawek i gołębi, gnieździły się tam różne ptaki drapieżne: kruki, wrony, jastrzębie i sokoły. Co to za rozkosz była wybrać się do takiego lasu?! Zaopatrzony w dobrą lornetkę, siadywałem ukryty w gąszczu, na jakimś pniaku i godzinami obserwowałem to bujne życie, z jego zajmującemi przejawami, a czasem przerywane tragicznemi epizodami walki o byt.

Lasy te przerywane są „łęgami" czyli kotlinami niżej położonemi, bujną trawą lub trzciną zarosłemi, gdzie z powodu zbytniej wilgoci las nie mógł rosnąć. Kotliny te przechodziły w sadzawki, stawy, jeziora, a te były ostoją różnorodnego ptactwa wodnego i błotnego, — tam, zwłaszcza pod wieczór przelatywały z krzykiem liczne stada kaczek, zaś całe kolonje czapli siwych obsiadywały stare sosny i z nich obserwowały całą okolicę, zaś w czasie upałów w południe, siedząc bez ruchu na szczytach starych sosen, oddawały się drzemce i w spokoju trawiły złowione rano ryby. Nie raz zdawało się, że

---

panicz. — On taki biedny, tak tęskni za lasami, dziś nawet nie napadł mnie, kiedym wszedł do ogrodzenia.

Ojciec jednak nie pozwolił, wszak jeleń był ozdobą parku...

Gdy noc nastała, chłopak wstał z łóżka, zebrał się i szybko zdążał do miejsca, gdzie było ogrodzenie.

Chciał otworzyć klatkę, by wypuścić jelenia na wolność.

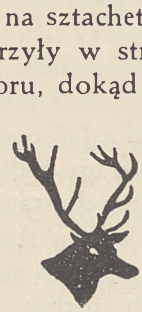
Ale gdy mocował się z zamkiem, usłyszał bolesny ryk, tak bolesny, że ścisnęło mu się serce. Szarpnął z całej siły drzwi i zaczął szukać jelenia, by go z ogrodzenia wyprowadzić.

Jeleń tymczasem sądząc, że idzie do niego któryś z chłopców wiejskich, poraz pierwszy w swem życiu poczuł strach. Zaczął uciekać, a kiedy stanął przed sztachetami, zebrał wszystkie siły i skoczył. Na chwilę zawisł w powietrzu, ale gdy padał, uczuł wbijające się w jego boki żelazne pręty swego więzienia. I wówczas wyrwał mu się ten ryk bolesny zmieszany z jękiem agonji.

Wszystko to widział chłopiec. Pobiegł szybko do pałacu, zbudził służbę, prosząc, by dobiła nieszczęśliwego. Nikt jednak nie chciał strzelać do oswojonego zwierza. Dopiero, gdy nadszedł pijany ekonom, rozległy się dwa, szybko po sobie następujące strzały z przyłożonej do łba jelenia strzelby.

Zawisła ukoronowana głowa.

Rano wisiał jeszcze na sztachetach. Oczy już bielmem zaszły, ale jakby patrzyły w stronę, czerniącej się na widnokręgu ściany boru, dokąd go wzywał zew krwi.



korony sosen ozdobione są kwiatami, które srebrem połyskiwały w świetle słonecznem, a były to całe stada czapli siwych, które za zbliżeniem wzlatywały z głośnym chrapliwym wrzaskiem i krążyły nad okolicznym lasem. Nad tem wszystkiem rozbrzmiewał wibrujący głos bekasów, tworząc niejako tło do tej, tak oryginalnej muzyki. Wogóle w lesie takim panował stale ruch, hałas, jak na jakim jarmarku, a dla amatora przyrodnika było to nieprzebrane pole do obserwacji i podziwiania piękności przyrody. Gdy przychodziłem do mojej kryjówki, obserwowałem po kolei, przez szkła, te kolosalne drzewa, których ogromne korony stanowiły, każda z osobna, jakby odrębne miasto lub wieś zamieszkałą przez różnych lokatorów, których znałem i których los żywo mię obchodził, i codziennie koleje ich życia obserwowałem. Więc na wiekowym dębie założyły swe gniazdo jastrzębie gołębiarze, wychowując kilkoro żarłocznych i nienasyconych potomków a obserwowanie ich ciągłych zbrodni i rabunków wzburzało mię w najwyższym stopniu, jednak chcąc poznać dokładnie ich tryb życia, byłem cierpliwym i chociaż nieraz zaciskałem pięści oburzony ich morderczością, powtarzałem sobie dla odzyskania równowagi sławne: „quousque tandem abutere patientiam nostram?" aż w końcu brakło tej cierpliwości! Gdy stare zaczęły znosić dzieciom kuropatwy i zajączki, wtenczas przyszedłem ze sztucerkiem, by położyć kres życiu tej zbójeckiej rodziny. — Także i nasze „kochane boćki" założyły sobie na starej rozłożystej sośnie duże gniazdo i corocznie je przez lato zamieszkiwały. Niestety straciły w mojem pojęciu wiele sympatji, gdy się przekonałem, obserwując przez szkła, że nie tylko żabki znosiły do gniazda dla swych „gagatków", lecz często i młode zajączki, które nieraz rozpaczliwie „kniaziły" — rozdzierane żywcem ostremi dziobami bocianiej familji. —

Zlitujcie się Kochani Koledzy z cechu św. Huberta! darujcie mi, że w mojem gadulstwie odbiegłem tak daleko od tematu, przecież ja miałem mówić o polowaniu z ogarami! a zjechałem na temat nic z tem nie mający wspólnego, poniosła mnie pasyjka przyrodnicza! — więc wybaczcie, bo przecież to nie wykład, lecz tylko gawęda.

W lasach powyżej opisanych wszelka zwierzyna czuła się dobrze, było jej dużo, i nie brakło dla niej nigdy, wśród gąszczy, ani schroniska przed ostremi wiatrami i zamiecią, ani nie brakło jej pożywienia wśród nawet najcięższej zimy; rozłożyste buki i dęby stuletnie, zaścielały wprost, smaczną bukwią i żołędzią ziemię, dostarczając nieprzebranych zapasów karmy dla sarn i dzików, również smaczne młode pędy jerzyn, ostrężyn i osik dawały nadmiar zdrowej paszy dla sarn; to też rogacze odznaczały się wprost wspaniałemi parostkami.

Oczywistą jest rzeczą, że w takich lasach jedynie polowanie z ogarami mogło dać pozytywny rezultat, gdyż były partje lasu, których nie tylko nagonka, lecz nawet zwierzyna uciekająca przed psami, z powodu gąszczu, przebyć nie mogła i uchodząc dróżkami i wydeptanemi ścieżkami, ułatwiała myśliwym spotkanie.

W tych lasach, w ich środku, schowany był majątek mojego wuja S..., sławnego na całą okolicę myśliwego, który nas t. j. mnie i brata mego, bardzo lubiał, i do którego byliśmy stale zapraszani na wakacje, na święta Bożego Narodzenia i Wielkanocy.

Pod gościnnym dachem wujostwa spędzaliśmy wiele uroczych chwil, których wspomnienia jeszcze dziś po pół wieku stanowią najmilsze pokrzepienie w kłopotach, jakie życie niesie. Prawdziwa staropolska gościnność i ten bezmiar rodzicielskiego niemal serca, do którego nas obydwoje ś. p. wujostwo garnęli, niezatarte wspomnienia nam zostawiły. — Majątek obejmował kilkaset morgów znakomitej ziemi ornej, powstałej z korczunków wśród kilku tysięcy morgów lasów, które wieńcem otaczały ten ośrodek życia staropolskiego, gdzie tradycyjne cnoty święciły tryumfy w życiu rodzinnem, gdzie liczna rodzina chowała się „po Bożemu", — wolna od dzisiejszej zarazy, tak modnych rozwodów, która to moda wniosła w niejedno gniazdo rodzinne przekleństwo, nie raz całkiem je zniszczyła, a członków rodziny, jak piasek pustyni, po całym rozwiała świecie! I tam, gdzie całe pokolenia chowały się w dostatku, dziś zostały zaledwie resztki sparcelowanych majątków, często w rękach obcych nam żywiołów zostające, i ani śladu tej kultury i tych obyczajów, z których Polska ongiś słynęła, nie pozostało! Potomkowie zaś wielkich ojców pędzą w stolicy jako „biuraliści" swój nędzny żywot, dalecy od tych skarbów, jakie dla ich życia tworzył pobyt we wsi rodzinnej, wśród natury, bo nie umieli ukochać tej ziemi ojczystej, i z lekkiem sercem jej się wyzbyli.

Wśród obszernego parku i ogrodu owocowego, był duży parterowy dwór, trochę w ziemię wrosły, lecz wygodny i ciepły, o wielu przybudówkach, tak, że mógł pomieścić bardzo liczną rodzinę, a ściany jego, w myśl staropolskiej gościnności, rozszerzały się tak cudownie, że zawsze zdołały pomieścić wszystkich gości, chociaż nie było to tak łatwem, bo do serc gościnnych właścicieli tego domu lgnęli i zbiegali się wszyscy, jak muchy do miodu.

Jak wspomniałem, wuj był znakomitym myśliwym, toteż dom jego był ostoją prawdziwego myślistwa, w najlepszem znaczeniu tego słowa, — powiedziałbym: ołtarzem kultu św. Huberta.

Tryb życia był dostosowany ściśle do potrzeb myśliwskich, — o ósmej rano był raport leśnych, było ich czterech i leśniczy. Równo ze świtem, o ile tylko aura na to pozwalała, każdy leśny miał obowiązek „obtropić" swój rewir, co było koniecznem wobec zmiennego stanu zwierzyny, bo dziki wielkiemi stadami wędrowały za żerem w tych lasach, a często wilk lub jeleń przechodził, sarny zaś były stale miejscowe. Raport sam wuj odbierał, i według wyniku tegoż zapadała decyzja, czy się w tym dniu będzie polowało lub nie?, względnie, w której partji lasów? Po raporcie, który się odbywał w kancelarji wuja, — sygnał dany rogiem przez strzelca, lub przez samego wuja, zwoływał on nas wszystkich tj. nas dwóch, gości i trzech ciotecznych braci naszych, na naradę wojenną.

Opiszę jedno takie zdarzenie. Raport był korzystny, śnieg nieduży, (było to pod koniec listopada) ponowa piękna, i meldunek brzmiał, że: „na Zalesiu" w gąszczach dębowych zaległo ogromne stado, — około czterdzieści sztuk dzików, które nadeszły od strony lasów rządowych. — Ogólna mobilizacja! — wszyscy myśliwi za pół godziny mają się stawić przed gankiem, skąd częścią sankami, częścią pieszo miano wyruszyć do wspomnianego ostępu, położonego zaledwie jakie trzy kilometry od dworu. Każdy z leśnych miał na sforze dwa do trzech ogarów. Były to psy dobrane, już od lat włożone do polowania i na dziki „zaprawione", — które nie raz i kilka godzin po sąsiednich lasach goniły, zanim „obróciły" tj. nawróciły zwierzynę do rewiru, z którego była ruszoną. Był to przeważnie typ ogarów nizinnych, t. j. psy rosłe, koloru czarnego żółto podpalane, z włosem krótkim, lśniącym, goniące „ostro" i głoszące silnie, tak, że przy dobrym wietrze i o milę słychać je było.

W zupełnem milczeniu obeszliśmy w koło kilkunasto morgowy gąszcz, porozstawiani na dróżkach przez leśniczego, — było nas dziesięciu myśliwych. — Chwilę później, by dzików przedwcześnie nie „ruszyć", leśni rozstawili się z psami również na około osaczonego miotu. Na dany gwizdkiem sygnał przez wuja, wszystkie psy spuszczono naraz ze sfor, — czując dziki, z największą ochotą rzuciły się w gąszcze. Trudno opisać, jaki powstał zamęt, rejwach i hałas, gdy kilkanaście psów zaczęło ujadać, zrazu grubym głosem w miejscu jak na „dziada", następnie, gdy mniejsze dziki napierane przez zjadliwe psy „ruszyły" — powstał straszny zamęt zmieszanych głosów psów i broniących się dzików, „rechtanie" macior starających się utrzymać warchlaki w stadzie i kwik młodych „wycinków" i warchlaków kaleczonych przez psy. Emocja była nadzwyczajna! — Nikt nie wiedział, kogo św. Hubert wyróżni spotkaniem, i każdy myśliwy starał się utrzymać swoje nerwy na wodzy i mieć zimną krew, by w danej chwili spotkanie jak najlepiej wyzyskać.

Nie było to łatwą rzeczą, bo z powodu, że miot otoczony nie był duży, strzał kulowy w środek był wykluczony i chociaż widziało się przewalające się całe gromady dzików zmieszanych z psami, nie można było strzelać, to też niemożna było należycie wyzyskać tego spotkania. Na wuja, który stał u wylotu wąskiej ścieżki, wypadł wycinek tak nagle, że nie można było się usunąć i ciął wuja kłem w mały palec u lewej ręki, trzymającej sztucer, a gdy minął wuja, pomimo że ręka silnie broczyła, padł przestrzelony kulą z ekspresa wzdłuż. Drugim szczęśliwym, który mógł strzelić, był ksiądz proboszcz, początkujący myśliwy, ten strzałem na komorę loftkami powalił starą maciorę, z odległości zaledwie kilku kroków. Tak z wielkiej chmury, skończyło się na małym deszczu, bo dziki nie dały się „rozbić", rozprószyć, lecz zwartą „ławą", jednym torem, „ruszyły" i przeszły do sąsiednich rządowych lasów. Psy przez kilka godzin trzeba było zwoływać, a na odgłos rogu powracały pojedyńczo lub parami, niektóre pokieraszowane kłami dzików, lecz na szczęście żaden nie był poważnie ranionym. To samo wielkie stado dzików omal nie było powodem wypadku. W kilka dni później, kuzynka moja powracała z sąsiedzkiej wizyty, w noc księżycową, karetą, na saniach umieszczoną, czwórką bardzo dobrych koni, jadąc szosą. W tem całe stado nadeszło z boku i rażone światłem latarń zatrzymało się na brzegu nad nieco niżej idącą drogą; przerażone dziki zaczęły fukać i rechtać tak, że konie się spłoszyły, i byłyby niezawodnie poniosły i karetę do przydrożnego rowu wywróciły, gdyby nie przytomność starego woźnicy, który energją i strzałami czterokonnego bata zmusił konie do pomknięcia naprzód w pełnym galopie i z drogi nie zboczył.

Teraz już w tamtych stronach o wilku lub jeleniu „słuch zaginął" a dziki nie należą do częstej zwierzyny, natomiast stan zajęcy i bażantów, które zaprowadzono, znacznie się poprawił, lecz o polowaniu z ogarami nie ma mowy.

W następnym artykule opiszę polowanie z ogarami w Karpatach.



FRANTZ MUNCH ROSENBERG

Łowy na grubego zwierza

(Tłum. z angiel. A. M.)

(Ciąg dalszy)

Vesteraa. Namdalen. Nowy pies do łowów na łosie. Mały byk upolowany.

Nie upłynął jeszcze rok od mego ostatniego pobytu w tych czarujących okolicach — a z ochotą wielką znowu tu przybyłem, gdyż dawny mój przyjaciel p. P. chciał jeszcze zapolować w Norwegji. Wybrałem więc dla niego lasy rządowe Vesteraa, Landegod i Graodalen — uprzywilejowane miejsce do łowów na łosie.

Pewnego więc dnia, na początku września, wypłynęliśmy statkiem ze Steinkjer i kierując się wzdłuż brzegów wielkiego jeziora Snaase, dotarliśmy do Grong i Namdalen.

Z pokładu spoglądałem często na mały, karłowaty parowiec, dążący zygzakiem ku Sem — przypominało mi to minione dnie, dobrze i mile tam spędzane.

Stary mój pies „Bjonn" — jak wiele prawdziwie rasowych i dobrych psów — zepsuł się wielce z braku treningu. Gdy się kończył okres polowań, prowadził on wypoczynkowe, błogie w swoim rodzaju życie w mojej fermie. Poprosiłem więc Ole Agle, aby mi dostarczył kilka młodych psów do łowów na łosie z okolic Lierne, w pobliżu Snaasa, z pod samej szwedzkiej granicy. — Spełnił on moje życzenie i spotkał się z nami w Sem, przyprowadziwszy z sobą dwa psy.

Prócz p. P. towarzyszył mi także drugi mój przyjaciel p. B., który miał zamiar polować w lasach Bangsjö, właśnie z jednym z tych nowo sprowadzonych psów.

Oba psy wspaniale wyglądały; miały po półtora roku i chociaż byli to rodzeni bracia, jednak nic do siebie nie podobni — każdy innego typu: jeden posiadał krótką sierść, długie łapy i dość dużą głowę, jak stary „Flink", — drugi zaś, był kudłaty, krępy jak „Bjoon" i o wiele mniejszy od tamtego, co jest wielką zaletą do polowań na smyczy.

Zostawiono mi pierwszeństwo w wyborze — a ponieważ ta mała kudłata psina tak wyglądała mile, spokojnie i inteligentnie, gdy przysiadła koło mnie wpatrując się we mnie z pewną jakby dumą w wyrazie oczu, — więc ją właśnie wybrałem dla siebie!

Wsiedliśmy więc do wózka, zabierając oba psy, które w wybornym były nastroju i zaraz się z sobą zaprzyjaźniły zupełnie. Gdy się jednak polowanie skończyło i udaliśmy się do fermy Heia, w okolicy Sem-Grong, aby się tam spotkać z mym przyjacielem p. B. i z psem jego, — oba psy z taką furją rzuciły się na siebie, że całą siłą musieliśmy je rozrywać, aby się nie pokaleczyły wzajemnie.

Po idealnie pięknej wędrówce poprzez Snaasaheiea — wzgórzu dzielącem Snaasa od Namdalen — dotarliśmy wieczorem do Maelen nad rzeką Namsen, trzymając się wciąż głównego traktu na zachód, wzdłuż tej rzeki. — Ładna jest też wycieczka łódeczką z Grong do małej mieściny Mosjoen, a stamtąd statkiem po rzece Vesfu, aż hen na północ.

Przeprawiwszy się przez rzekę Namsen w Maelen, wstąpiliśmy do pobliskiej fermy Lilleoen, gdzie jej właściciel przyjął nas bardzo gościnnie. Nie mogliśmy się dość nadziwić tej nadzwyczajnej, — godnej do naśladowania — czystości na każdym kroku i wielkiego porządku, jaki tu wszędzie panował! Zauważyłem to samo we wszystkich prawie większych fermach tak w Snaasa, jak i w Namdalen.

Całą noc deszcz padał, ale nad ranem słońce zajrzało do nas przez firanki, więc ubrawszy się co tchu, wyszliśmy przed dom na zieloną polankę. Mieliśmy przed sobą dużą dolinę Namsen z dzikiemi opodal lasami i wzniosłemi górami, upstrzoną tu i ówdzie jasno umalowanemi domkami, które w jesiennem słońcu odbijały się jaskrawie od otaczającej je zieleni. Nawet mój zwykle flegmatyczny przyjaciel Anglik, ujrzawszy ten widok, nie mógł wstrzymać słowa zachwytu: „wspaniałe" („mervellous"), co mu się bardzo rzadko zdarzało!

W ciągu dnia, przewodnik nasz, dozorca leśny, John Brondbo przybył z fermy Ristad wraz ze swym psem „Trofast", czystej rasy, o krótkiej sierści i długich łapach, który się później okazał wybornym do polowania na smyczy. Drugi nasz przewodnik, Johan Opdal, miał przybyć do nas nazajutrz. Prócz tych dwóch ludzi, zamówiliśmy sobie jeszcze trzeciego przewodnika a raczej tylko pomocnika, sprytnego bardzo, zwanego Spillum, którego zadaniem miało być pamiętanie o wszystkiem, dostarczanie żywności, gotowanie i t. d., sezon bowiem myśliwski kończył się już za 10 dni, więc nie można było tracić czasu na zajmowanie się czem innem, jak tylko łowami, wykorzystując każdą na to chwilę.

Około południa nadjechał właśnie Spillum z końmi i pakami, więc pożegnawszy naszego gospodarza, wyruszyliśmy na południe w górskie szczyty pokryte leśnym gąszczem.

Północne skłony tych gór były wszędzie zupełnie suche i niżej, u stóp ich, bagna wyschnięte, ścieżki wszędzie łatwe do przebycia, gdyż lato wyjątkowo było tu pogodne i gorące. Po mniej więcej 3 i pół godzinach prędkiego marszu, doszliśmy do rzeki Vesteraa, która będąc tu wstrzymana tamą, przerywa swój równy bieg i rozlewa się wszędzie, tworząc cały szereg długich i wąskich jezior, które przebyć można tylko łódką, bo są dość głębokie; znajdują się jednak miejsca niebezpieczne i dla łódek, gdyż woda płynąc bystro, tworzy tam wiry gwałtowne. Okrążywszy więc te nurty, wpłynęliśmy na koniec do głównego jeziora Vesteraa i zachwyciliśmy się naraz widokiem maleńkiej leśniczówki, położonej na leśnym pagórku, który ostrym swym klinem wsunął się zupełnie w jezioro. Z miejsca tego widać było całe jezioro i las, jak na dłoni a dalej na wschód, wysoki szczyt górski, noszący wesołą nazwę „Braendevinshangen" (wódczany pagórek).

Krajobraz ten był prawdziwie przepiękny — czarujący! Płynąc teraz małą rzeczułką, zauważyłem wkrótce, że las opodal staje się coraz więcej zwarty a drzewa są o wiele starsze i grubsze od tych, które spotykałem w lasach dawniejszych mych łowów w Snaasa. Las, obok którego płynęliśmy teraz, zdawał się być idealnem siedliskiem łosi i z największą pewnością krył tu nie jedno ich stado; jednak polowania z psem na smyczy nie były tu do urzeczywistnienia! Poczciwy Brondbo pocieszył mię nieco, mówiąc, że znajdziemy wspaniałe polany na skrajach leśnych i wiele górskich płaszczyzn rozrzuconych tu i tam na zachód, w Landegod.

Leśniczówki w tej okolicy składają się z jednej tylko, ale bardzo dużej, miłej i wygodnej izby z wielkim kominkiem i następnie — z kuchni. Wyglądają one daleko

lepiej, aniżeli rządowe leśniczówki, które zwiedzałem; wszystkie tu są identycznie, ale nadzwyczaj praktycznie umeblowane.

Tego wieczora krążyłem długo łódeczką po jeziorze z przynętą „wydry", ale nic nie złapałem; Brondbo powiedział mi, że tu są małe tylko ryby, a za to wielka ilość węgorzy, podobnie jak we wszystkich jeziorach Namdal; jednak trafia się czasem w wielkiem jeziorze Storesoien w Landegad złowić pstrąga, ważącego do 5 funtów.

Następne dwa dni spędziliśmy na oglądaniu i zwiedzaniu naszego terytorjum łowieckiego i odbyliśmy małą wycieczkę do „Gosen", głównego miejsca łowów w Landegod.

W samej rzeczy, tak jak mi zapowiedział Brondbo, było tu wiele polan na skrajach leśnych. Jezioro Vesteraa leży jak w basenie, otoczone całe leśnemi pagórkami, najgęstsze zaś lasy znajdują się na samym jego północnym brzegu, skąd pomału przerzedzają się i nikną wreszcie zupełnie na nagich górskich płaszczyznach, rozciągających się na wschód w stronę dwóch jezior Bangsjoerne i na zachód do Landegod. Las tu tworzy raczej dolinę leśną, otoczoną wysokiemi górami, w jednem tylko miejscu łączącą się z doliną Bangdal pomiędzy dwoma górami Solemshatten i Merkesakslen.

Zaraz za leśniczówką Gosen, która mi się o wiele więcej podobała aniżeli leśniczówka Vesteraa, pomimo, że ta ostatnia położona jest daleko piękniej — widniał śmiesznego kształtu pagórek, zwany Pikhangen. Weszliśmy na jego szczyt i lubowaliśmy się wspaniałym stąd widokiem!

Na zachodniej stronie pagórek ten tworzy prawie prostopadłą ścianę. U stóp jego w lesie natrafiliśmy na małego łosia, byka, ogryzającego gałęzie drzew. Było to jeszcze bardzo młode stworzenie, mające po dwa zupełnie małe pasemka na łopatach; — nie miałem więc ochoty go zabijać.

Wprost naprzeciw nas wyrastał stromy pagórek „Skogjaerringhangen", — stanowiący ongi ostoję niedźwiedzi.

Najkrótsza komunikacja z Vesterae do Gosen prowadzi wzdłuż rzeki Vesteraa aż do jej tamy, potem trzeba przejść przez niski wierzchołek na drugą stronę jeziora Storesoien, gdzie się zwykle łódka znajduje, a stąd prosto już płynąć do leśniczówki Gosen, położonej na samym południowo-zachodnim końcu jeziora.

Spostrzegłem tu olbrzymią sieć wiszącą na kołku na ścianie zewnętrznej leśniczówki Gosen; widząc moje zaciekawienie, Brondbo objaśnił, że to stanowi wyborny przyrząd do połowu ryb, czego też później sami byliśmy świadkami, ujrzawszy ją zarzuconą w strumyku naprzeciw leśniczówki. Poprzez ten strumień ułożonych było sporo dużych kamieni w ten sposób, że wstrzymywały tu jego prąd, pozostawiając dlań tylko w samym środku małe wolne miejsce, w którem tę sieć umieszczono. Była to bardzo praktyczna pułapka dla biednych ryb.

Zwykle bywa, że w pierwszym dniu łowów w nowem, nieznanem jeszcze miejscu, doznaje się pewnego lęku i niepokoju, a zwłaszcza wtedy, gdy — podobnie jak ja obecnie — ma się młodego psa z sobą.

Brondbo znał całą tę okolicę wyśmienicie, bo nie tylko, że był tu dozorcą leśnym, ale też nieraz już towarzyszył wielu myśliwym w ich łowach; zadecydowaliśmy więc, że on właśnie pójdzie z przyjacielem mym Anglikiem. Popłynęli więc obaj na wschodnią stronę jeziora, by zapolować w okolicach Skarakslen, przy południowym szczycie góry Gjeitjeldene. Między tą ostatnią a jeziorem, znajduje się cały szereg dużych gęsto zakrzewionych pagórków, gdzie zwykle przebywa wielka ilość łosi; teren jednak ten trudny jest bardzo do przebycia, gdyż wszędzie pokryty jest całą warstwą suchych gałęzi, pozostałych po ściętym lesie, posplątywanych i poplątanych z bujną i gęstą trawą, a także z krzakami dzikich leśnych malin, których tu pełno. Najgorszy zaś teren jest na pagórku Sandtjernhangen, znajdujący się niedaleko tych wspaniałych zarosłych gaików, zwanych Sandtjerne, gdzie łosie mają zupełnie spokojne i bezpieczne schronienie.

W tych lasach napotkać można obszerne, rozległe polany, zwłaszcza na północy, w których się zwykle poluje z „wolnym" psem i najczęściej z dobrym wynikiem, ale tylko wtedy, gdy się jest w kilka strzelb i na odpowiednich stanowiskach.

Opdal i ja odpłynęliśmy na południowe wybrzeże jeziora, gdzieśmy wylądowali, uwiązawszy łódkę, aby nią powrócić. Puściliśmy się przez las na wschód do wyniosłego pagórka Gronlihangen, a potem zwróciliśmy się na południe do pagórka Braendvinshangen, który jest nieco wyższy i pokryty rzadszym lasem. Cała ta okolica aż na południe jest wymarzonem siedliskiem dla łosi!

Miałem z sobą obydwa psy: „Varg'a" (wilka) i psa Opdal'a; ten jego pies był już podobno nieraz obecnym przy zgonach łosi. Gdy psy zwietrzyły łosia w pobliżu Gronlihangen, pies Opdal'a stał się odrazu niespokojny, a skorośmy się zbliżyli do łosi (zdaje się, że była to łosza z małem), pies ten zaczął głośno ujadać i naszczekiwać, więc odrazu je spłoszył.

Pokazuje się, że w przeszłym sezonie Opdal wynajął tego psa myśliwemu, który podobno używał go do „wolnego" polowania. W każdym razie był on zupełnie już teraz zepsuty i wcale nie nadawał się do polowania na smyczy; zanim więc dostałem innego psa, musiałem się zadowolić świeżo nabytym „Varg". „Varg" zupełnie inaczej się zachowywał w bliskości łosi: był spokojny i czujny i zdawał się mieć wyborny wiatr; był przytem małym i lekkim, co jest niesłychaną zaletą, gdy droga jest trudna do przebycia; zresztą wkrótce się sami o tem przekonaliśmy.

Z samego szczytu pagórka Braendevinshangen, roztaczał się rozległy widok na całą okolicę w około dwóch jezior: południowego i północnego Bangsjo. Widać było rozległe polany, ogromne bagniska i małe kępy drzew. Postanowiliśmy udać się do południowego je-

ziora, iść potem doliną rzeki Bogna i wznieść się na wysoki szczyt Spothatten, który był jednym z granicznych znaków pomiędzy naszym krajem a państwem Collet'a.

Szliśmy więc na południe, a gdy dotarliśmy do grupy małych jezior, psy zwietrzyły łosia, po tropach których poznaliśmy, że to była łosza z małem. Naturalnie, nie miałem wcale zamiaru jej zabijać, lecz dla treningu psów przez pewien czas postępowaliśmy za ich tropami, — ale ani razu nie udało się nam ich nawet z daleka zobaczyć.

Prawie ciągle pogoda bardzo była przykra, a w dodatku od czasu do czasu puszczała się raptem ulewa, tak, żeśmy przemokli do nitki i porządnie się nam zimno zrobiło, więc przeszedłszy jeszcze część drogi po pod drzewami, zaproponowałem odpoczynek; rozniecililiśmy więc suty ogień, by wysuszyć ubranie i napić się gorącej kawy z zakąską.

Ponieważ nie zanosiło się na nic ciekawego w całej tej okolicy, zwróciliśmy się na otwartą płaszczyznę do Landegod, naidealniejszej miejscowości dla łosi, — jednak żadnego nie spotkaliśmy.

Pogoda jeszcze się pogarszała, a w końcu taka nastąpiła gęsta mgła, że nic prawie widać nie było; wobec tego nie mieliśmy żadnego celu iść dalej i zawróciliśmy do leśniczówki.

Jednakże, gdy już poznałem te okolice, postanowiłem któregoś dnia jeszcze tu powrócić, aby dobrze spłądrować każdy zakątek górski nad doliną „Bangdal", lub jak ją też tu nazywają: „Bangheia".

Mój przyjaciel gorliwie spędził cały ten dzień w ustawicznym marszu między pagórkami gęsto zadrzewionemi i widział wiele łosi, ale tylko same łosze.

To nas trochę pocieszyło jednak, bośmy tłumaczyli sobie, że gdzie są łosze, tam wnet i łoś ukazać się może.

Nad ranem poprawiła się pogoda i gdy wyjrzałem przez drzwi, z radością zauważyłem, że zupełna panuje cisza na dworze, a niebo jest niebieskie. Ranna mgła spoczywała jeszcze nisko na jeziorze i polach, tak, że tylko same wierzchołki pagórków widzieć mogliśmy wokoło, jednak zapowiadał się piękny dzień.

Wysłaliśmy Spillum'a z powrotem do doliny Namsen z niepotrzebnym psem Opdala, zaleciwszy mu przyprowadzić innego.

Tegoż rana Opdal i ja po przejściu sporego kawałka drogi pomiędzy leśniczówką a miejscowością, gdzieśmy byli poprzedniego dnia, — znaleźliśmy się w gęstym lesie.

Na wschodniej stronie góry Mysmorhatten natrafiliśmy na wielkie skalne urwisko przecinające Bongheia i kończące się głębokim jarem po drugiej stronie tej góry, przy wspaniałej dolinie; jar ten jest cały, aż do głębi porośnięty gęstą górską trawą; po samym zaś środku jego, na dnie, płynie mały kamienisty strumyczek. Strome, wyniosłe góry otaczające tę dolinę pokryte są wielkiemi i okazałemi kępami sosen. Jestto właśnie jedno z tych czarodziejskich ustroni, do których wzdycha niejeden myśliwy, śniąc i marząc o spotkaniu tu najpiękniejszego i największego łosia!

Lekki wiaterek powiewał nam z południa, a niebo było bez żadnej chmurki. Stojąc na samej krawędzi skały, z całym zachwytem spoglądaliśmy na tę okolicę u stóp naszych i właśnie, gdy rzuciłem ostatnie jeszcze spojrzenia na te niewielkie ale urocze rozpadliny skalne, Opdal szarpnął mię gwałtownie za ramię, wskazując mi daleko na dole ciemny punkt.

Był to łoś, stojący pośrodku błotniska, o jakie 700 yardów od nas. Spojrzawszy przez binokle, poznałem, że to jest byk, ale bardzo jeszcze młody, o małych łopatach; koniecznie chciałem go jednak zabić dla wypróbowania mego młodego psa.

„Varg" zwietrzył go już i rwał się gwałtownie na smyczy, ale ponieważ byliśmy jeszcze za wysoko, więc musieliśmy zejść przez mały, ale długi pagórek, żeby podejść łosia na odległość strzału; nimeśmy doszli — zniknął nam z oczu.

Łażąc na czworakach u stóp pagórka, dotarłem do miejsca, skąd widzieć mogłem całe błotnisko, lecz łosia na nim nigdzie nie było. Po chwili jednak, zauważyłem, że coś się w dali porusza — o jakie 250 yardów — i wkrótce spostrzegłem łosia pasącego się spokojnie, ale na nieszczęście moje tak niefortunnie był odwrócony odemnie, że nie mogłem doń mierzyć.

Stałem tak pewien czas i czułem dobrze, że się Opdal już niecierpliwić zaczyna, że nie strzelam. Wkońcu łoś zwrócił się trochę lepiej do mnie, ale znów gałąź brzozy znalazła się między jego grzbietem a mną, tak, że bałem się jeszcze strzelić. Nareszcie, po niedługiej chwili, która mi się jednak wiekiem wtedy wydała, łoś żwawo wyszedł naprzód, wysuwając na widownię cały swój tułów, więc go natychmiast strzałem poczęstowałem.

Głuchy trzask był znakiem, że kula go trafiła, jednak okręciwszy się na miejscu, pobiegł on jeszcze całym pędem do lasu. Zmierzyłem się raz jeszcze do niego i wystrzeliłem z lewej lufy; znowu posłyszałem, że kula go dosięgła, ale w tejże samej chwili zniknął mi między drzewami, na skraju lasu.

Z pewną obawą i niedowierzaniem puściłem się w ślad za nim na błotnisko, gdyż pierwszy raz strzelałem z tego sztucera, nie znając jeszcze jego wartości i zalet; przeszedłszy jednak kilka yardów w lesie, w miejscu, gdzie się teren zniżał, znalazłem rozciągniętego, martwego już łosia.

Pierwsza kula trafiła go w komorę, może trochę zanadto z tyłu, ale uczyniła straszne wewnątrz spustoszenie, — kilka nawet odłamków jej wyszło na wylot. — Drugi strzał ugodził go zanadto znów może naprzód, — jednak pierwszy był zupełnie dostateczny.

Sztucer wykonany w fabryce ogólnie znanej firmy Holland & Holland, zaopatrzony jest nabojami angielskiemi 303 Mark VII, ja jednak zmodernizowałem nieco naboje, zastępując je amerykańskiemi, nowo sfabrykowanemi z łuskami metalowemi „Lubaloy" i o bardzo małem wydrążeniu. — Proch zaś „Du-

pont", w ilości 174 ziarek, daje szybkość strzału około 2.500 stóp na sekundę. Sztucer mój wykazał największą akuratność, a rezultat nie pozostawił, zdaje się, nic więcej do życzenia.

Niedaleko od leżącego łosia znajdowała się mała zielona polanka, wśród której wił się wązki strumyczek pomiędzy wierzbami, w czasie więc, gdy Opdal zajęty był zdejmowaniem skóry, ja się zaprzątnąłem przygotowaniem kawy w małym moim podróżnym imbryczku.

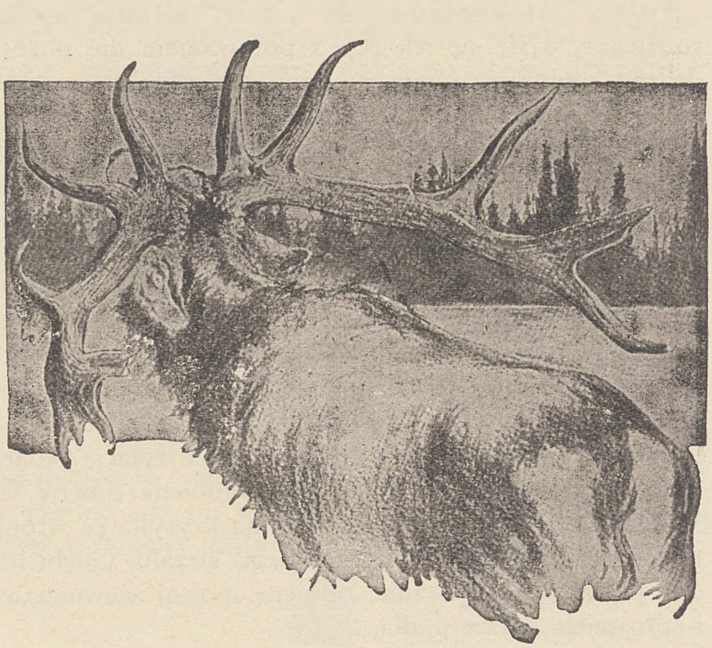
Ponieważ jeszcze było bardzo wcześnie, odrazu wypatroszyliśmy i poćwiartowali łosia, zawiesiwszy potem mięso jego pod drzewami na gałęziach, aby uchronić je od deszczu, jak i od promieni słonecznych, do czasu zabrania go stąd.

W powrotnej drodze spotkaliśmy się z łoszą w małej kępce brzozowej. Obrała ona sobie stanowisko na skraju tej grupy drzew zapewne dlatego, aby łatwiej posłyszeć zbliżającego się nieprzyjaciela z tyłu pomiędzy drzewami, a jednocześnie nie spuszczać z oka okolicy przed sobą. Za wyjątkiem tych dwóch okazów, nie widzieliśmy wcale łosi tego dnia; nie znaleźliśmy też nigdzie na płaszczyznach głuszców, a tylko kilka cietrzewi zabiliśmy w lesie.

Mój przyjaciel Anglik, który polował w okolicach Landegod, natrafił na tropy olbrzymiego łosia, więc następnego dnia udał się zaraz do leśniczówki, gdzie za kilka dni, miałem się z nim połączyć.

Tymczasem Spillum powrócił z doliny Namsen z okazałym, ogromnym psem czarnej maści, z białą łatą pomiędzy oczami. Ten nowy pies wydał mi się bardzo mało wyrobionym i wcale nie wyglądał inteligentnie, tak, że nie miałem wielkiej nadziei, aby się lepiej sprawiał od obecnych naszych psów, które świetnie się zaprezentowały, gdy nazajutrz zabraliśmy je na trening i ostatecznie więc zdecydowałem się poprzestać na moim małym „Varg".

(C. d. n.)



WŁADYSŁAW GÜRTLER

Dlaczego starsi myśliwi chybiają

Był czas, kiedy strzelałem doskonale zarówno kulami, jak i śrutem. Na sto strzałów z dubeltówki, trafiałem w 98% tak do ptactwa np. do krzyków, jak do zajęcy i innych czworonogów. Zdarzało mi się także na wielu polowaniach, zwłaszcza w kniei, że ani jednego pudła ze swej ulubionej kurkowej lankastrówki nie robiłem. Ale było to już dość dawno niestety, bo między 28-ym a 35-tym rokiem mojego życia. W tych siedmiu latach strzelałem rzeczywiście koncertowo.

Dzisiaj, gdy dochodzę do sześćdziesiątki, strzelam gorzej, szczególniej na dalsze dystanse i do ptaków.

Ponieważ wzrok mam jeszcze zupełnie dobry i cały aparat nerwowy wydaje mi się w porządku, tudzież należytą, wieloletniem doświadczeniem zdobytą technikę strzelania, dlatego dziwię się trochę temu, aczkolwiek powolnemu, nie mniej jednak ciekawemu zanikaniu swej umiejętności w strzelaniu, zastanawiam się nad tem zjawiskiem i analizuję bardzo pilnie każdy strzał do zwierzyny, przedewszystkiem chybiony.

Że starzenie się postępuje u wszystkich ludzi z nieubłaganą, w miarę przeżytych lat konsekwencją i że zaznacza się często wcale nieprzyjemnie w różnych funkcjach życiowych, to rzecz pewna i o tem wszyscy aż nadto dobrze wiemy, ale ażeby wpływało ono aż tak widocznie na sprawność myśliwską, choćby indywidualną w kierunku ujemnym, to zahacza już o problem bardzo ciekawy i godny zastanowienia się.

Niejeden z nas starszych trzyma się dłużej młodo i świeżo, niejeden natomiast staje się kompletnym starcem już w 50-tym roku życia, inny znowu nawet po siedmdziesiątce czuje się dobrze i dzierży jeszcze krzepko swoją broń w dłoni, mierzy celnie i trafia... Wszystko to pozostaje, rzecz oczywista, w przyczynowym związku z całem życiem i zależy przeważnie od młodości, spędzonej mniej lub więcej „na wesoło"...

Myśliwy, który często poluje i przebywa niemal codziennie na świeżem powietrzu i w słońcu, czuje się daleko lepiej n. b., o ile nie jest obarczony błędem organicznym, od tego swego kolegi, który rzadziej, od święta tylko, na łowy się wybiera. Jako wytrenowany znosi także dzielniej wszystkie trudy myśliwskiego żywota i jest odporniejszy na różne choroby.

Mam tu na myśli zawodowych leśników, dochodzących w pełnem zdrowiu i przy czerstwym zawsze wyglądzie do wysokiej starości. Mimo to... starzejemy się wszyscy... i obserwujemy na sobie takie coraz to inne zmiany duchowe i organiczne, występujące właśnie przy wykonywaniu łowiectwa, o jakich nam się przedtem nawet nie śniło...

Nie znosimy więc większych wysiłków fizycznych, jak: dłuższego marszu pod górę, przyśpieszonego chodzenia po oraninach, szybkiej jazdy na rozklekotanym, trzęsącym się wozie, wczesnego wstawania i t. d. A przecież na takie drobnostki nie zwracało się za młodu uwa-

gi! Czy tylko zmiany organiczne są temu winne? Tłumaczyć to trzeba i tem, że w starszym wieku staliśmy się leniwi, za wygodni...

Do ruszonej zwierzyny mierzymy powolniej, strzelamy z pewną tremą i trafiamy gorzej. I tych odchyleń nie było w nas dawniej, a jeśli się niekiedy pojawiły, to tylko przemijająco... Trudno wyjaśnić przyczynę ich powstawania u starych...

Niema atoli reguły bez wyjątków. Znałem myśliwego, który mając 76 lat za sobą, rozbierał się do pasa, wdziewał chodaki, wchodził w bagno, brodził w niem lepiej od psa i strzelał świetnie do kaczek, dubeltów i kszyków...

Ani sapał, jak czynić w tym wieku powinien, ani się pocił lub męczył i był w stanie polować w tych bądź co bądź nie nadzwyczajnych warunkach po 5 godzin dziennie! Pomimo to, że przez całe życie tak polował, nie skarżył się nigdy ani na reumatyzm, ani na astmę, ani na serce. Nad podziw! Czem taką żywotność tłumaczyć? Chyba tem, że nigdy nie używał on tytoniu...

Ale widziałem starszych myśliwych, innej już konstrukcji, którzy złożywszy się do zwierzyny, zamykali w chwili dawania strzału oczy i pudłowali... Gdy im zwróciłem uwagę na tę ich wadę, co mogłem uczynić, bo się im przyglądałem, dziwili się mocno, nie chcieli mi wierzyć i zapewniali, że się im nigdy coś podobnego nie wydarzało. Ale ja miałem słuszność!.. I niechaj mi ktoś wytłumaczy ten błąd starszego wieku! Nerwy... zapewne, albo i co innego!...

Byli i tacy, którzy przy strzale zrywali broń, t. zn. tak mocno pociągali za języczek, że nabój uderzał w ziemię lub śnieg tuż przed nimi.

Jeśliby o mnie samego chodziło, to trzymam strzelbę jeszcze mocno, strzelam pewnie, ale... ale owo błyskawiczne składanie się z przyrzutu do wstającej dziczyzny, owo wyczuwanie najlepszego momentu, w którymby za spust pociągnąć należało, owo podświadome, a przecież tak trafne zawsze wyzyskiwanie każdej sytuacji łowieckiej, już... już mi się nie udaje tak dobrze, jak dawniej. Aparat mój psychiczny nie pracuje zatem sprawnie i zawodzi... Stwierdzam to dokumentnie teraz przy strzałach w gęstej drągowinie i na ciągach słonek...

Stałem się mniej bystrym, powolniejszym, celuję dłużej i dlatego częściej chybiam.

* * *

Niektórzy myśliwi przyzwyczaili się, może pod ciężarem lat, do tego kardynalnego błędu, że mierząc do zwierza w biegu, względnie w locie, nie prowadzą go środkiem szyny na całej jej długości, tylko zatrzymują koniec luf w pewnem oddaleniu przed nim na domniemanej jego drodze i wypalają, licząc na to, że akurat na strzał nabiegnie i trafiony przypadkowo, zruluje... Tymczasem należy go prowadzić po całej szynie ciągle i, wyrzuciwszy broń, a jak się mówi, nałożywszy nieco, w r u c h u strzelić...

Być może, że z biegiem lat ulatuje powoli z pamięci ta zasadnicza a tak ważna reguła strzelania.

Albo celując w górę, do bażanta np., jakże często przykrzywiamy lufy i zapominamy o tem, że leżeć one muszą w rękach w każdej pozycji strzałowej czy to w górę, czy w bok, czy przed siebie, idealnie p o z i o m o i tworzyć kąt prosty z linią pionową, przeprowadzoną jednem mgnieniem źrenicy przez środek ciała strzelanego zwierzęcia. A powinno go się (kąt) zawsze wyszukać, nawet wtedy, gdy np. ptak wylatuje z boku i szybuje na ukos w górę.

Cała sztuka trafienia przy szybkim strzale rzutowym na tej właśnie zasadzie się opiera. Przez pilny, codzienny trening dochodzi się do niej dość szybko i strzela później pewnie, prawidłowo, chociaż najczęściej bezwiednie. Na trening wszakże niema czasu, a na posiadanie maszyny do wyrzucania rzutków nie każdy zdobyć się może.

Wpierw jednak nauczyć się trzeba koniecznie, a raczej przyzwyczaić do tego, ażeby do każdej zwierzyny, pomykającej z którejkolwiek bądź strony, ustawiać się zawsze f r o n t e m. Musi się bowiem chybiać, gdy się tylko górną część tułowia za nią wykręca, a nogami tkwi nieruchomo w ziemi...

Jak zakładać do zwierza, gdy się ten porusza od przodu ku myśliwemu, gdy pomyka przed nim, albo przebiega „na połeć" z prawej lub lewej strony, wie o tem każdy, nawet początkujący strzelec, a starszy, zżyty z temi prawidłami nie zapomni o nich z pewnością nigdy i stara się stosować je w praktyce mniej lub więcej umiejętnie. Dlatego o nich nie wspominam.

Jest wprawdzie pewnikiem, że pierwszy celny strzał podnosi zaufanie do siebie, że wpływa kojąco na układ nerwów i że decyduje często o dalszem, skutecznem strzelaniu. Jeśli się on nie uda, jest już źle, bo tracimy wiarę we własne siły... Wówczas jednak, rzecz dziwna, nie obwiniamy siebie, ale zwalamy pudło na różne urojone przeszkody. A przecież bystra ocena tego właśnie pierwszego strzału mogłaby nam oszczędzić niejednej przykrości...

Fizyczne niedomagania, zły humor, irytacja, troski codzienne, o ile się ich przed polowaniem nie pozbędziemy, wpływają również ogromnie na efekt strzałów. Jakże zaś łatwo ulega wszystkim tego rodzaju niekorzystnym stanom psychicznym starszy człowiek i o ile głębiej je odczuwa, aniżeli młody, zapominający nawet o samym sobie, skoro tylko strzelbę ujmie w ręce i stanie na stanowisku.

Cierpienia, choćby nieznaczne, jak ból głowy, odparzenie palców w ciasnych bucikach, reumatyczna szarpanina w kościach itd., to dolegliwości, na które zapadają starsi nemrodzi, jakże ujemnie działają na ich duchowe nastawienie i ile chybionych strzałów powodują!

Fatalnie zaś odbija się na nich wszelka irytacja i idące z nią w parze rozdrażnienie, spowodowane choćby taką błahą przyczyną, jak np. dosadna krytyka ze strony towarzyszów któregoś niefortunnego strzału. Gnębi ich ona przez całe polowanie, odbiera spokój wewnętrzny i sprowadza dalsze pudła.

My starsi odziedziczyliśmy po przodkach różne przesądy i zabobony myśliwskie. Wierzymy święcie w dnie feralne, w których jakoby nic się nie wiedzie — albo, że jeśli nam przy wychodzeniu z domu lub wyjeździe na łowy przejdzie drogę stara baba z próżnemi konwiami, jeśli spotkamy w drodze golonego księdza (bo brodaty nie szkodzi), albo, jeśli życzy nam ktoś „szczęścia", choćby z dobrego serca to czynił, już się smucimy, peszymy, irytujemy i prawie pewni jesteśmy, że albo żadnego spotkania mieć nie będziemy, albo same pudła nas czekają... I niechaj ktoś próbuje wytłumaczyć nam bezsensowność tych zabobonów. Na nic sprawa! Nie wierzymy... Pod urokiem guseł pozostaniemy już przez cały dzień...

Młodzi kpią sobie z przesądów i strzelają beztrosko, bo się w innych tradycjach wychowali.

Na wszystkich myśliwych bez względu na wiek, wywiera wpływ przemożny każdorazowy stan pogody. — Deszcz wywołuje zawsze przygnębienie. Ów nastrój radosny, tak typowy dla każdego myśliwskiego zespołu przed polowaniem, ustępuje wśród deszczu, niepojętej jakiejś melancholji, albo wręcz smutkowi, widocznemu u wszystkich.

Gdy leje, milkną wesołe pokrzyki, głośne powitania, żarty i docinki, a drużynę opanowuje ponure milczenie. Myśliwi siadają na wozy ze spuszczonemi nosami i jadą apatyczni i zrezygnowani, jak, na ścięcie. Ulegają depresji nietylko starsi, ale i młodzi... Najlepszem wyjściem z sytuacji będzie rezygnacja z polowania, któreby i tak skończyć się musiało fiaskiem kompletnem.

* * *

Z tych krótkich rozważań na temat psychologji strzelania u starszych, — napisanych mimochodem, wysnućby można ten wniosek ogólniejszy, że czynnikiem motorycznym w lepszem lub gorszem u nich strzelaniu, jest właściwie poza pewnem usprawiedliwionem zniedołężnieniem li tylko usposobienie, humor i zdolność panowania nad sobą.

Kto chce zatem dobrze strzelać, a przytem być miłym i pożądanym towarzyszem, niech spędzi wszelki smutek z czoła, zapomni o biurze, domie, o żonie, dzieciach i o zabobonach, jeśli to potrafi, niechaj się sam raduje i drugich rozwesela, niech się postara o wygodne obuwie i dobre naboje, a przed wyjazdem niechaj oglądnie ładne kolanko, byle nie stare i nie u własnej żony, niech i wyżej sięgnie, jeśli się czuje na siłach, a wtedy... wtedy będzie miał pełne powodzenie myśliwskie — wszędzie — na wodzie i na lądzie, w polu i w lesie, w dzień i w nocy...

Tym wszystkim zaś myśliwym, którzy już s a m i zaliczają się do starszej gwardji, a którzy mimo to zachowali jeszcze świeżość młodzieńczą i święty dla szlachetnego łowiectwa zapał, gratuluję szczerze tych cennych przymiotów i życzę serdecznie, aby ich do końca najdłuższego żywota dni na chwilę nie tracili.

✝

Antoni hr. Bolesta Koziebrodzki

ziemianin, członek M. T. Ł.

zmarł w Chlebowie w dniu 13 czerwca b. r., mając lat 60.

Zmarły był myśliwym i zamiłowanym hodowcą zwierzyny. Polowania w Chlebowie były jednemi z najlepszych na Podolu.

Cześć Jego pamięci, pokój Jego duszy!



KORESPONDENCJE

Jakkolwiek wiosna obecna należała do bardzo spóźnionych, to już mimo poważnej warstwy leżącego jeszcze śniegu w lesie i istniejącego mrozu, spotykano już około 20 marca słonki, ciągnące wieczorem.

Ze względu, że czas ochrony w myśl obowiązującej ustawy łowieckiej rozpoczyna się 15 maja — poleciłem, wiedząc, że w lasach powiatu jarosławskiego, części ich północnej, słonki się zawsze gnieżdżą — szukać gniazd i obserwować czas lęgu.

Straż łowiecka stosując się do otrzymanych poleceń, doniosła mi, że dnia 1-go maja odszukała 3 gniazda, na których słonki siedzą — we wszystkich było po 4 sztuk jaj.

Poleciłem słonki dalej obserwować i co kilka dni płoszyć z gniazd celem przekonania się kiedy wylęg jaj nastąpi. W dniu 18-go maja po spłoszeniu słonki, przekonano się, że jaja są w całości, 20-go maja słonki jeszcze siedziały nie spłoszone, zaś 22-go maja stwierdzono, że w gniazdach były tylko skorupki z jaj, słonek już nie było.

Widocznie więc, że matka po wylęgu wyprowadziła swe pisklęta na obok znajdujące się bagna.

Z terminów wyżej podanych stwierdzić można, że wylęg jaj u słonek następuje w czasie jak u kuraków, t. j. około 3 tygodniowym.

Gniazda założone były w drzewostanach starych, rzadkich, liściastych pod lichemi krzaczkami, na terenach suchych wzniesionych, samo gniazdo to dołeczek w ziemi, na dnie którego nieco uschłych liści (ściółki).

Niedaleko gniazd znajdują się moczary wśród drzewostanów olchowych.

Do zarządzenia powyżej opisanego badania skłoniła mnie myśl, że ustawa łowiecka dla naszych stosunków środkowo małopolskich, zapodała za długi czas strzelania słonek na ciągach (15 maja), wskutek czego mogą być niszczone już założone gniazda, przez odstrzał jednego lub obu z małżeństw.

Nabrawszy tego przekonania, wstrzymałem 2-go maja dalszy odstrzał słonek na ciągach.

Powyższe wyjaśnienie sprawy, pozwalam sobie przesłać P. T. Redakcji w tej myśli, że może ono przyczynić się do poprawiania licznych błędów naszej ustawy a w szczególności błędu tego, że czas odstrzału słonki w naszych warunkach, powinien się kończyć nie 15 maja, lecz między 15-tym a 20-tym kwietnia.

Czerce, dnia 2 czerwca 1931.

St. Kisielewski
delegat jarosławski



Sprawy Towarzystwa

Sprawozdanie z posiedzenia Wydziału M. T. Ł., w dniu 22 czerwca 1931 r.

Przewodniczy Prezes Juljusz hr. Bielski, obecni wiceprezesi C. Czarkowski-Golejewski, A. Mniszek i A. Sander, członkowie Wydziału: M. Chrzanowski, inż. A. Ebenberger, Wł. Garapich, Dr. M. Małaczyński, Dr. Fr. Piechowski, St. Pieńczykowski, H. Prek, Dr. J. Rosienkiewicz, A. Ulm, i Dr. W. Ziembicki, zast. czł. St. Madeyski.

Nieobecność usprawiedliwili St. Jaśkiewicz i T. Jędrzejowicz.

Prezes podzielił się z Wydziałem wiadomościami o przebiegu drugiej sesji Conseil International de la Chasse w Paryżu, w której wziął udział jako reprezentant Polski razem z Panami Jerzym i Maurycym hr. Potockimi. Na posiedzeniu plenarnem Conseil'u w dniu 1 czerwca 1931 r., zaprotestował Prezes w stanowczy sposób przeciw znanej, a niebywałej napaści na łowiectwo polskie ze strony niemieckiego czasopisma „Zeitschrift für Forst und Jagdwesen". — Na zjeździe tym zapadły ważne rezolucje w kierunku uregulowania wielu spraw łowieckich, mających charakter międzynarodowy, względnie takich, w których stosunki panujące w poszczególnych Państwach mają wpływ na Państwa nieraz nawet geograficznie bardzo odległe. Takiemi bowiem są podnoszone tam sprawy ochrony ptactwa przelotnego, a szczególnie słonek i przepiórek, polowanie na to ptactwo środkami niszczącemi je ślepo i masowo, polowanie z latawców, zatruwanie wód nadbrzeżnych i śródlądowych odpadkami ciężkich olei, któremi popędzane są okręty i t. p.

Omówiono dalej sprawę dorocznego Zjazdu M. T. Ł. i udziału M. T. Ł. w Międzynarodowych zawodach strzeleckich jako przypuszczalną datę Zjazdu M. T. Ł. wybrano dzień 11 i 12 września, z tem, że ostateczny termin Zjazdu ustalony zostanie po porozumieniu się z Władzami wojskowemi w sprawie strzelnicy.

Wiceprezes Sander zdał sprawozdanie z Nadzwyczajnego Walnego Zgromadzenia M. T. Ł. Oddziału w Krakowie, w którem jako delegat Wydziału, wziął udział.

Zebranie to było wprawdzie bardzo nieliczne, gdyż byli na niem obecni tylko Prezes Oddz. gen. Józef Stiller i pp.: Andrzej Chwalibóg, Stanisław Morawetz, inż. Bolesław Szarek, Antoni Sułkowski, inż. Witold Friedberg, Leon Gintel, Tadeusz Łysakowski, Dr. Jan Robel i Dr. Stanisław Sozański, jednakowoż przebieg zebrania był bardzo poważny, a delegat nasz stwierdził, że życzenia Oddz. krakowskiego w sprawie nowelizacji prawa łowieckiego idą po jednej linji z pracami Wydziału Centrali. W dyskusji trwającej przeszło trzy godziny, zabierali głos wszyscy obecni, a sekretarz Oddziału Stanisław Morawetz przedstawił postulaty Wydziału Oddziału krakowskiego, prawie identyczne z temi, o których przeprowadzenie ustawicznie zabiegamy.

Wydział przyjął to sprawozdanie delegata swego z największem zadowoleniem do wiadomości i polecił wyrazić podziękowanie Prezesowi gen. Józefowi Stillerowi, za zwołanie tej konferencji i zachęcić Oddział do dalszej współpracy w tej ważnej sprawie z Centralą Towarzystwa.

Stanisław Madeyski zawiadomił Wydział, że „Drobex", Spółka eksportu drobiu i dziczyzny, rozpoczęła już swoje czynności. Wydział postanowił ponownie poprzeć działalność tej spółki, jako mającej na celu racjonalne zużytkowanie ubitej zwierzyny, co leży w interesie zarówno posiadaczy rewirów łowieckich, jak i Państwa.

Przy końcu posiedzenia przybył na nie prof. R. Wacek i podzielił się z Wydziałem wiadomościami o przebiegu ankiety turystycznej, odbytej w dniach 29 i 30 maja w Stanisławowie, z inicjatywy tamt. p. Wojewody. W czasie obrad tej ankiety wygłosił prof. Wacek referat, dotyczący stosunków łowieckich w Karpatach wschodnich, wykazując w nim, że interesa łowiectwa i turystyki, są napozór tylko sprzeczne i przy dobrej woli dadzą się ze sobą doskonale pogodzić.

Wydział wyraził prof. Wackowi gorące podziękowanie, za doskonałe zastępstwo interesów łowiectwa na tej ważnej konferencji.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego
Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 85-16